



LATE NIGHT DEVIL PUT YOUR HANDS ON ME. THE FIRST TOUCH OF FLESHES.



Łoskot uderzających o ścianę okiennic oraz szuranie wprawionych w drganie mebli zdawał się być ledwie cichym szmerem. Wypełniająca mnie złość, która wynikała z gwałtownej reakcji Marie, zagłuszała wszystko; zarówno odgłosy z zewnątrz, jak i moje myśli, a te były ostatnim bastionem zdrowego rozsądku, znikającego wraz z każdym kolejnym zdaniem wypowiedzianym przez kapłankę voodoo. Chwilowym sojusznikiem stojącej przede mną kobiety okazał się być nagły podmuch wiatru, wpadający przez otwarte okno, który zsunąwszy ramiączko zwiewnej sukienki sprawił, że dekolt LaFleur znacznie się pogłębił, co przez krótki moment rozproszyło mnie zdecydowanie za bardzo.

Mój wzrok powiódł po smukłej szyi kapłanki, poprzez silnie zarysowane obojczyki, aż do wyraźnie wyeksponowanych, krągłych piersi. Wpatrywałam się w nie przez dłuższą chwilę, starając się wyplenić z umysłu myśli, które były wyjątkowo nie na miejscu. *A może wręcz przeciwnie?* Doskonale wiedziałam co może zdziałać ogniste tango gniewu i pożądania. Przez krótką chwilę rozważałam całkowite mu się poddanie, jednak kolejne słowa, padające z pełnych ust kobiety, skutecznie odwiodły mnie od tego pomysłu. Zaciskając dłonie w pięści, z trudem powstrzymałam drżenie ramion, wbijając w kapłankę voodoo pełne jawnej furii spojrzenie swoich zielonych tęczęwek.

— Wybacz, ale Twój Bon Dieu mnie nie interesuje. — warknęłam, momentalnie czując, jak pod moją skórą rozlewa się znajome, a jednocześnie wielce niepożądane uczucie: niewdzięczność.

Zepchnąwszy je w najdalsze czeluści mojego umysłu, zrobiłam kilka kroków w kierunku LaFleur, momentalnie się z nią zrównując. Zarzuty padające z ust kobiety doprowadziły mnie na skraj furii. Miałam ochotę zacisnąć na jej odsłoniętych ramionach palce - na tyle mocno, aby pozostawić sine ślady - i gwałtownie nią potrząsnąć. Zamiast tego zmrużyłam jednak oczy, a kolejne słowa wypłynęły ze mnie, zanim zdążyłam je przemyśleć. *Niestety.*

— Zgrywasz taką dobrą. Bezinteresowną. Myślisz, że zrobiłaś mi wielką przysługę i przez to padnę przed Tobą, całując dłonie. Nie myśl, że nie wiem dlaczego robisz to wszystko. Od początku podejrzewałam, że masz swoje ukryte motywy, ale teraz jestem tego pewna. Chcesz umocnić swoją pozycję w sabacie, zdobyć zaufanie czarowników i czarownic, aby następnie przerobić go na własną modłę. **Nigdy** na to nie pozwolę.

*To nieprawda, Zeldo. Wiesz, że to nieprawda. Wiesz, że tak nie uważasz. Zatrzymaj się, póki nie jest za późno. Ostatnie okrzyki zdrowego rozsądku zostały stłamszone przez mój gniew, który palił wnętrze niczym piekielny ogień.*

— Nie wycofam się z żadnego układu. To ja jestem Arcykapłanką, a Ty zapomniałaś gdzie w tym wszystkim Twoje miejsce. Zapłacona cena nie jest Twoją sprawą. Ja również nie godzę się na to, żeby moje jestestwo zostało połączone z czymś; w przeciwnym razie przyjąłbym mojego męża na kolanach. Ot, taki przykład, skoro tak bardzo lubicie z Hildą obmawiać moje małżeństwo za moimi plecami. — wysyczałam tonem spływającym zabójczą wręcz ilością jadu, a moje usta wykrzywiły się w wyjątkowo paskudnym, podłym uśmiechu. — Nie jestem nikomu nic winna. Nie jestem nic winna Tobie. To Prudence Cię tu zaprosiła, nie ja...

Urwałam swój pełen irracjonalnej wściekłości wywód, częściowo zagłuszany przez gwizdanie niewstawionego na ogień czajnika, dopiero wtedy, kiedy dostrzegłam jak pęki kwiatów, które Hilda zwykła znosić do domu, zaczął spowijać brunatny kolor. Do tej pory krwście czerwone płatki nagle stały się suche, szpetnie powyginane i opadły w jednej chwili, a wraz z nimi pszczoła, która niefortunnie starała się znaleźć wśród nich swój mały azyl. Oderwawszy wzrok od tej osobliwej sceny, przeniosłam go na oblicze Marie, która zdawała się być równie zszokowana. *To nie moja moc. Wyczułabym... wiedziałabym.*

Otrząsnąwszy się z chwilowego letargu, pod wpływem moich słów kapłanka voodoo odwróciła się na pięcie, w milczeniu opuszczając kuchnię. Nie próbowałam jej zatrzymać, choć widok oddalającej się bez żalu, ponętnej sylwetki kobiety, a także czułe pożegnanie z moją siostrą sprawiły, że poczułam nagłą pustkę. Zupełnie tak, jakby ktoś wyrwał kawałek mojej osobowości, grzebiąc go w zwykłej ziemi, nie tej z Ogrodu Kaina, tym samym przypieczętowując ostatecznie jego los. Skrzywiłam się. Skryta pod bandażami rana dała o sobie znać. To właśnie ten ból sprawił, że - choć miałam ochotę uderzyć się za to w twarz - rzuciłam w kierunku przedpokoju ostatnie słowa, cementujące rozstanie z Mambo Marie.

— Nie zatrzymuj jej dłużej, Hildo. Nasza kapłanka ma ważniejsze rzeczy na głowie.

Gdy do moich uszu dotarł dźwięk zamykających się drzwi frontowych, a następnie szurające kroki pulchnej blondynki, pochwytiłam stojącą na blacie stołu szklankę i cisnęłam nią przez pokój, a ta rozbiła się o najbliższą ścianę w drobny mak. Kątem oka dostrzegłam stojącą na progu kuchni Hildegardę, która przyglądała mi się z wyraźną dezaprobatą. Posłałam jej ostrzegawcze spojrzenie; to, że od pół roku nie wylądowała w Ziemi Kaina nie oznaczało, iż zapomniałam o niezliczonej ilości zastosowań kuchennych i ogrodowych narzędzi. Moja siostra pokręciła głową, wciąż mając na twarzy tę kretyńską ekspresję.

— Co to miało być, do cholery? — zapytała cienkim, lecz nadal przepelnionym obrzydliwym urokiem głosem.



Zapach jaśminu stał się jedynie wspomnieniem. Nerwowo przerzucałam kolejne stronicie książki; mój wzrok wodził po zapisanym runami tekście, nie przyswajając jednak żadnej zawartej w nim informacji. Woń, która jeszcze kilka dni temu przyjemnie rozpraszała mnie przy każdej, nawet najbardziej prozaicznej czynności, w tym momencie, poprzez jej brak, stała się głównym źródłem mojego poirytowania. Nie mogąc dłużej udawać przed samą sobą, że przeglądanie stronic jest w stanie odciągnąć mnie od myśli, które przez ostatni tydzień wywoływały u mnie dwojakie emocje, zatrzasnęłam z impetem ciężką okładkę manuskryptu, chowając twarz w dłoniach, którymi powoli po niej przeciągnęłam, wbijając paznokcie w skórę.

Pragnęłam wyrzucić z siebie wszelkie wspomnienia dotyczące haitańskiej kapłanki. Zmiać je w dłoń, rozszarpać na drobne kawałki szczupłymi palcami i rzucić na wiatr, aby ten bezpowrotnie porwał je hen daleko. Nie mogłam. Nie wiedziałam czy przyczyniły się do tego odprawione rytuały - jeden mający przywrócić mnie do życia i kolejny, mający odwrócić konsekwencje swojego

poprzednika, tym samym w moim mniemaniu splacając zaciągnięty u Marie dług. Wzdychając ciężko, sięgnęłam w kierunku otwartej papierošnicy, z której wyjąwszy papierosa, odpaliłam go, kompletnie ignorując elegancki, spoczywający na biurku tuż obok księgi uchwyt. Szary dym unosił się nad moją głową, kiedy raz po raz wypuszczałam go z ust, przyrykając powieki.

Mój umysł jak na złość przywołał wspomnienie, gdy dłoń LaFleur po raz pierwszy odnalazła moją. Miękką, delikatną powierzchnią, która wywołała bliżej niesprecyzowane drgnięcie, zaś na ciele dreszcz, niedoświadczony nigdy wcześniej; nawet z Faustusem. Relacja z Marie nie była wulgarna. Elektryzująca, sensualnie erotyczna - tak, lecz nie obsceniczna. Towarzysząca jej aura tajemniczości jedynie podsycala moje pragnienie poznania, zatracenia się nie tylko w ciele kobiety, ale i jej duszy.

Haitanka na swój szczególny sposób wyciszała najgłębiej skrywane troski mego serca, co sprawiało, że przez ten krótki okres jej jestestwo przeistoczyło się w swoistą stałą, której kurczowo się trzymałam, choć nie miałam najmniejszego zamiaru tego przyznać na głos. Nie po tym, co powiedziałam jej ostatnio; steku kłamstw i bzdur, otulonych w jad i wyplutych pod wpływem emocji, które po dziś dzień powodowały gorycz na moim języku i palące poczucie żalu, przemieszanego z równie dojmującą tęsknotą.

Z objęć ponurych myśli wyrwało mnie pukanie do drzwi dyrektorskiego gabinetu. Odruchowo zerknęłam na zegarek; było już dawno po godzinie czarownic. Ściągnąwszy brwi w konsternacji, strzepnęłam powstały na końcu papierosa popiół i wyprostowałam się dumnie, poprawiając potargane od bezustannego, nerwowego okręcania loków wokół palca, włosy.

— Proszę wejść. — rzuciłam chłodnym, rzeczowym głosem, nie ukrywając nawet przez chwilę, że późna wizyta jest mi wybitnie nie na rękę.

Drzwi otworzyły się nieśmiało, ukazując czającą się za nimi sylwetkę Prudence. Widząc dziewczynę, moje nagłe spięcie odeszło w niepamięć. Nigdy nie sądziłam, że pierworodna córka mojego gnijącego w lochu pod Akademią małżonka będzie jedną z niewielu osób, które swoją obecnością nie wzbudzały mojego poirytowania. Nawet niesławny incydent z przekazaniem Faustusowi Leticii nie był w stanie nakierować mojego postrzegania dziewczyny na tor jawnej niechęci lub nienawiści - poczucie żalu wobec tej zagubionej istoty, która nigdy nie doświadczyła ani matczynej, ani ojcowskiej miłości, było zbyt silne.

— Przeszkadzam, siostró Spellman? — zaskakująco niepewny głos dziewczyny sprawił, że mimowolnie uniosłam brwi w wyrazie zaskoczenia.

Pannę Blackwood można było określić wieloma przymiotami, jednak wycucie z całą pewnością nie było jedną z tych cech. Między innymi z tego powodu jej ostrożność wydała mi się conajmniej podejrzana.

— Nie, Prudence, choć nie ukrywam, że jest to zdecydowanie zbyt późna pora na rozmowę, więc jeśli nie jest to nic pilnego, to czy mogłybyśmy... — urwałam, kiedy dziewczyna podeszła do mojego biurka, kładąc na jego powierzchni coś, co w zetknięciu z gładką powierzchnią drewna, wywołało krótki stukot, a następnie odsunęła się, splatając dłonie za plecami, jak to miała w zwyczaju.

Przede mną leżał czarny kamień o nieregularnych krawędziach. Obsydian. Najwyraźniej zauważając moje skonfundowane spojrzenie, najstarsza córka byłego Arcykapłana zajęła miejsce naprzeciwko mnie, przesuwając położoną uprzednio rzecz w moim kierunku.

— To dla Ciebie. Talizman strzegący przed złem. Wystarczy nosić go przy sobie. — odparła powoli, cierpliwie, choć w jej ciemnych oczach czaiły się ogniki dziwnego rozbawienia, których widok sprawił, że wykrzywiłam wargi w niezadowolonym grymasie.

— Doprawdy? A z jakiej to księgi wyczytałaś, że obsydian może mieć takie właściwości? Z tego co pamiętam, żadna z dostępnych w bibliotece nie prezentuje podobnego zastosowa...

— W żadnej. — przerwała mi dziewczyna, wzruszając przy tym ramionami z nonszalancją, którą z całą pewnością odziedziczyła po swoim ojcu.

— Mambo Marie podarowała mi to tuż przed tym, kiedy opuściła Greendale. Och, to znaczy tuż przed tym, kiedy postanowiliście ją przepędzić...

— To nieprawda! Nie wiem co Ci powiedziała, ale...

Prudence uniosła ręce w poddańczym geście, śmiejąc się przy tym pod nosem. Nie miałam pojęcia co sprawia, że ma tak dobry humor, jednak podejrzewałam, że może być to związane z Ambrosem, leżącym na ziemi materacu, na poddaszu mojego domostwa, lub faktem, iż jej ojciec rezydował w lochach. Jedno z trzech. Lub wszystkie naraz.

— Prudence, zachowaj te żarty dla siebie. Nie jestem w nastroju. — warknęłam, gwałtownie unosząc się z miejsca.

Swój wzrok utkwiłam w czarnym kamieniu; moje tęczołki wyrażały zarówno złość, jak i smutek, który skrzętnie starałam się ukryć. Nie zareagowałam nawet na wyjątkowo impertynencki ruch ze strony dziewczyny, kiedy bez pardonu sięgnęła po jednego papierosa, odpalając go i głęboko zaciągając się dymem.

— Spokojnie, sostro Spellman. — odparła szybko, choć rozbawienie w jej oczach nadal nadawało im dziwny blask; tendencję do doprowadzania mnie do szału najwyraźniej również odziedziczyła po Faustusie. — Nie wiem co między wami zaszło i prawdę mówiąc nie jestem gotowa na wysłuchanie historii o małym romansiku mojej macochy. Naprawdę! — uprzedziła mnie widząc, jak otwieram usta, aby zanegować jej domniemania. — To nie moja sprawa, choć w pełni to popieram. Wiem, że nie wyrzuciłaś Mambo Marie. Liczyłam, że to seksualne napięcie, które zawsze wam towarzyszyło, finalnie skończy się w sypialni obok, przez co znów nie będę mogła zmrużyć oka, więc wyobraź sobie moje rozczarowanie, że...

— Prudence! — krzyknęłam, uderzając dłonią w biurko; pozwoliłam, aby rude włosy częściowo opadły mi na twarz, zakrywając tym samym rumieniec, który zaczął wkradać się na bladą skórę.

Mój umysł zdawał się grać w jednej lidze z delektującą się papierosem pasierbicą, ponieważ momentalnie przywołał przed moimi oczami obraz pogłębionego dekoltu Marie. Oblizalam nerwowo wargi, krzyżując ręce na piersi i wbijając wzrok w ciemny sufit niczym obrażone dziecko.

— Nie wtrącam się, sostro Spellman. Uważam jednak, że powinnaś porozmawiać z Marie. Fakt, zaprosiłam ją do Greendale, jednak przybyła tu głównie ze względu na Ciebie i Twoją rodzinę. Cóż, w większej mierze chyba ze względu na...

— Tak, rozumiałam. A teraz, jeśli pozwolisz, chciałabym udać się na spoczynek. Powinnaś zrobić to samo.



Ani Hekate, ani Szatan, ani żadne inne bóstwo, włączając w to Falszywego Boga, nie było w stanie wyjaśnić tego co mną kierowało, kiedy stukot moich szpilek odbijał się po nowoorleańskiej uliczce we Francuskiej Dzielnicy. Zapadał wieczór, a słońce oznaczyło niebo czerwoną luną, powoli chowając się za horyzontem. Nerwowo zaciągałam się papierosem, raz po raz poprawiając czarny kapelusz z okazałym rondem, spod którego było widać wyłącznie opadające kaskadą na ramiona rude loki.

Dotarłam w miejsce, które wskazała mi Prudence - nie omieszkała rzucić przy tym wyjątkowo niestosownej uwagi - stanęłam przed drewnianymi drzwiami i odrzucając niedopalonego papierosa na bok, delikatnie dotknęłam ich powierzchni, wzdychając ciężko. *Co Ty robisz, Zeldo? Zastanów się.*

Przełykając ślinę, której gorzki smak spowodował palony wcześniej tytoń, szarpnęłam za klamkę i ignorując napis dotyczący godzin otwarcia, weszłam do środka, wprawiając przy tym w ruch dzwonek przytwierdzony nad wejściem. Sklep LaFleur był niewielkim, skąpanym w nikłym świetle świec pomieszczeniem, którego styl - choć daleki od eleganckich standardów, którymi częstowała mnie Akademia Sztuk Niewidzialnych lub nawet własne domostwo - sprawiał ogólne wrażenie niebywałej przytulności. Zdejmując kapelusz, rzuciłam go na pobliski fotel w drodze do lady. Docierając do stojącej pośrodku przeciwległej ściany wysepki, zacisnęłam dłonie na jej

blacie. Odczuwany stres idealnie równoważył się z ekscytacją, a w umyśle wciąż dźwięczały mi słowa Prudence.

Słyszając stukot zbliżających się obcasów, poczułam dreszcz, który przebiegł wzdłuż kręgosłupa, rozchodząc się po całym ciele. *Zelda*. Moje oczy momentalnie odnalazły oczy Marie, a jej głos wypowiadający moje imię jedynie spotęgował wszystkie skrajne emocje, których doświadczałam każdego dnia od jej odejścia. Nie odezwałam się. Nie byłam w stanie skompletować żadnej logicznej myśli, *ba!* nawet słowa. Delikatnie rozchyliłam uszmiłkowane ciemnoczerwoną pomadką usta, jednak nie wydobył się spomiędzy nich żaden dźwięk. Po prostu tam stałam, nie czując się nawet jak kompletna idiotka, choć moje zachowanie zdecydowanie nie było przejawem głębszego rozsądku.

Nie słyszałam żadnych dźwięków, ni słów Marie, które jedynie dudniły gdzieś w tle, zagłuszone przez szum w moich uszach, spowodowany szybszym biciem serca. Pragnęłam przekazać jej to wszystko, co powtarzałam sobie jak mantrę, przemierzając uliczki Nowego Orleanu. Pragnęłam przeprosić ją, powiedzieć jak bardzo żałuję tych wszystkich słów, jednocześnie zaznaczając, że moje stanowisko w kwestii rytuału, który ocalił życie Haitanki, nadal się nie zmieniło. Przede wszystkim pragnęłam jednak jej.

Odrzucając torebkę, do tej pory przewieszoną przez ramię, w jednej chwili znalazłam się przy LaFleur i popychając ją na ścianę, ujęłam jej twarz w obie dłonie i zmiażdżyłam jej wargi w namiętym, przepelnionym tęsknotą pocałunku. Kobieta smakowała jak letnie wino - nieznany moim zmysłom do tej pory bukiet, w jednej chwili stał się moim ulubionym. Wsuwając między jej wargi język, delektowałam się wyjątkowym aromatem, który chciałam smakować już zawsze. Moje dłonie powędrowały niżej, przez ramiona i talię, docierając do kształtnych bioder kapłanki, na których zacisnęłam swoje szczupłe palce. Nie sposób było zanegować zaborczość, którą oznaczał się każdy mój ruch, a jednocześnie była w nich pewna nieśmiałość; niepewność wobec tego, czy i Marie towarzyszą podobne rozterki.

Przygryzając delikatnie dolną wargę kobiety, przeniosłam pocałunki na jej policzek, a następnie linię szczęki. To jednak szyja Haitanki - długa, zgrabna - była głównym punktem na mapie jej ciała, w którym moje usta chciały się znaleźć. Przejeżdżając po niej nosem, niemalże zachłysnęłam się zapachem gładkiej skóry towarzyszki, za którym tak bardzo tęskniłam. *Jaśmin. Ten cholerny jaśmin*. Do tej pory zdobiąca moje usta szminka, pozostawiała czerwone smugi wszędzie tam, gdzie zetknęły się one z Marie, lecz to jej szyja stanowiła abstrakcyjny obraz namiętności.

Moje dłonie nieznacznie osunęły się na uda kobiety, a cienka faktura okrywającego ciało LaFleur szlafroka powiedziała mi wszystko. *Była naga*. Wbijając paznokcie, z odpowiednim jednak wyczuciem, w zakrytą jedwabiem skórę Haitanki, oderwałam się od jej szyi, a spomiędzy moich ust wydobył się cichy, desperacki jęk.

— Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam. — wymruczałam, po każdym słowie składając pocałunek coraz wyżej, aż w końcu dotarłam do jej ust, w które wyszeptalam: — Każ mi przestać, proszę. Szatan mi świadkiem, że jeśli tego nie zrobisz, własnoręcznie zedrę z Ciebie wszystko to, co masz na sobie, Marie, i żadna siła mnie nie powstrzyma.